Rok 1938 16 października Nr 42

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

Młodzież na Jasnej Górze



Obrazki ze zlotu 100 tysięcy druhów katolickich stowarzyszeń męskich na Jasnej Górze, gdzie w cudownej kaplicy jako wotum złożono ryngraf, widoczny na rycinie obok kilku zdjęć z pochodu defilującego przed Arcypasterzami i przedstawicielami władz świeckich, cywilnych i wojskowych.

Jadwiga...

Jak Polska długa i szeroka brzmi to imię, imię nadawane na chrzcie św. dziewczątkom.

Jadwiga... To nie dlatego, że tak nazywała się księżna śląska, czci godna matka księcia Henryka Pobożnego, który jako rycerz chrześcijański padł w obronie Krzyża Chrystusowego w walce z pohańcami pod Legnicą.

Imieniem Jadwigi chrzci się w Polsce dlatego, że należy ono do tej Jadwigi, co na wawelskim zasiadała tronie: co życie swoje, niby całopalną ofiarę, oddała bez zastrzeżeń Polsce; co tam w dostojnej katedrze na Wawelu spoczywa prochem u stóp wielkiego ołtarza, po stronie Ewangelii, której słowo poniosła wraz z swym sercem w ciemne bory bałwochwalczej Litwy.

Jednym pasmem poświęceń i pełnionego dobra było jej życie, toż nie dziw, że już nad żyjącą miłość ludu zakreśliła krąg świetlany, widząc w niej ucieleśnioną świętość sługi Bożej.

Umarła w ostatnim roku 14. wieku (1399), rychło po zgonie stwierdzając swym wstawiennictwem w niebie to, co przypisywano jej na ziemi. Od jej grobu odchodzili ludzie uzdrowieni, pocieszeni, wysłuchani, przy jej grobie umarli wracali do życia...

Mamy teraz wiek 20-ty. Lat przeszło 500 minęło od chwili, gdy „Pani Jadwiga“ żyć przestała. Jakże — zdawałoby się — powinna była w ciągu tak długiego czasu uróść jej chwała w Polsce!

A tymczasem... Czyż trzeba mówić?

Skoro zatem nie wyniosły świątobliwej królowej na ołtarze naszych świątyń poprzednie pokolenia, niechaj uczynią to ludzie dzisiejsi, aby spłacić wielki dług wdzięczności, a Polsce zapewnić opiekę najczulszą nowej Patronki.

M ó d l m y się zatem serdecznie w dniu św. Jadwigi o jak najrychlejszą beatyfikację Wawelskiej Pani!

E. O.

Artysta z Bożej łaski

(Ciąg dalszy).

Tam wychowywał się i kształcił syn jego Franciszek, tam ukończył gimnazjum i studia muzyczne. W 18 jednak roku życia opuścił niespodziewanie kraj swój rodzinny, przenosząc się do Małopolski, ówczesnej Galicji austriackiej.

Tu został wychowawcą i nauczycielem dzieci hr. Wodzickiego w dobrach jego pod Krakowem. Po pewnym czasie przeniósł się ze wsi na stałe do Krakowa, gdzie utrzymywał się z lekcyj gry na fortepianie. Prowadził też jako kapelmistrz koncerty religijne, najczęściej w kościele Mariackim. Tu w Krakowie ożenił się z córką krakowskiego zegarmistrza i właściciela domu przy ulicy Floriańskiej.

W tym to domu w roku 1838 przyszło na świat dziecię, któremu na chrzcie świętym dano imiona Jana Alojzego.

Wątłe to było chłopię. Z trudem przychodziło mu mówienie, a pierwsze słowa, które nauczył się się wymawiać, były podobno. pany, baty, konie, wio.

Zdarzyło się raz podczas zabawy z rodzeństwem, że mały Janek potknąwszy się na progu, upadł tak nieszczęśliwie, że złamał sobie nos w górnej części. Skutkiem tego upadku nastąpiło skrzywienie nosa, które pozostało mu już na całe życie.

Chłopczyk od lat najwcześniejszych okazywał wielkie do wszystkiego zaciekawienie i nadzwyczajną pamięć tego, co słyszał, a zwłaszcza z bajek, powieści i opowiadań historycznych. Z pewnych ulubionych rzeczy powtarzał dosłownie całe ustępy, a do lat późniejszych zachował w pamięci co, kiedy i dla kogo rysował lub malował, tudzież kto i kiedy nabył jego prace.

Bujna fantazja dziecka czynną była nieustannie, tak, że nawet w snach i w półśnie widywał różne zjawy, potwory, diabły lub czarnoksiężników, którzy chcieli dostać się do jego łóżeczka, aby go porwać. Wtedy Janek przerażony uciekał do starszego brata i pod jego opieką zasypiał na nowo.

Najmilszą zabawą chłopca był ołówek i papier. Rysował całymi dniami wszystko co dokoła siebie widział: sprzęty domowe, zwierzęta i drzewa, którymi się bawił, później rwał się do rysowania koni, ludzi, a zwłaszcza żołnierzy i krakusów. Wycinał sobie ich postacie z kartonu, ustawiał na stole, a potem posuwał nimi, prowadząc ich niby do walki.

Mimo tak bujnej wyobraźni, był dzieckiem cichym i zamkniętym w sobie, nikomu się nigdy nie narzucał, nie starał się nad nikim przewodzić, mówił niewiele, a w dodatku z trudem wyrażał swoje myśli. Pełna ich za to była jego głowa. Zdarzało się także, że i do figlów miewał ochotę i płatał je rodzeństwu, służbie czy innym dzieciom, nigdy jednak nie były one dokuczliwe, a tym mniej złośliwe.

Dzieci wychowywane były bardzo skromnie, jak wogóle skromnym był cały dom nauczyciela muzyki. Dostanie jabłka czy gruszki sprawiało im wiele radości, zbytku nie znały, to też smak tak zdrowych owoców jak winogrona, był im obcy. Do ulubionych potraw małego Jasia należały m. i. kiełbaski-parówki i knedle ze śliwkami robione na sposób czeski. To też gdy kiedy z jakiego powodu nie dostał tych przysmaków, było to dla niego dotkliwą karą.

Starszy brat Zygmunt, dla oswojenia malca z wysokością drugiego piętra, na którym mieszkali i wyzbycia się lęku, przechylał go niekiedy przez poręcz ganku, sam zaś Jaś, podrósłszy, urządzał sobie karkołomne jazdy po poręczy schodów z drugiego piętra w dół, które na szczęście obeszły się bez wypadku.

W ósmym roku życia stracił Janek ukochaną i kochającą swe dzieci matkę, która mimo pochodzenia niemieckiego, była dobrą Polką i w duchu polskim wychowywała swoją gromadkę.

Zawsze czynny, pełen ruchu i wszystkiego ciekawy, wstawał w cieple dni już o 5-ej rano i wychodził z bratem na Wawel, kopiec Kościuszki, Wolę Justowską czy gdzie indziej, a po południu ojciec wyprowadzał dzieciarnię na dalekie przechadzki poza miasto.

(C. d. n.).

O jesiennych szlakach bocianich

(Dokończenie)

Chcąc sprawdzić, czy bociany z Prus Wschodnich, przewiezione na zachód, obiorą przy odlocie na południe drogę taką samą, jak ich przodkowie, czy też przyłączą się do swych braci zachodnich, wyhodowano w Prusach Wschodnich dla tej próby 145 bocianów. Gdy już zbliżała się pora odlotu ptactwa, całą tę gromadę wysłano koleją do miasta Essen w Nadrenii, na zachodzie Niemiec i trzymano tam cztery tygodnie w zamknięciu.

Młode boćki jednak odzyskawszy wolność, nie odrazu puściły się w daleką podróż. Najpierw, jakby niepewne co począć, zgromadziły się w okolicy miasta i głośno klekocąc, naradzały się widocznie nad trudną dla nich sprawą. Dopiero w kilka dni później odleciało na południe jakby na wywiady, tylko 20 ptaków, w pewien czas po nich 50 i wreszcie 62, gdy reszta w liczbie 13 wciąż jeszcze krążyła dokoła miasta, nie mogąc się zdobyć na decyzję. Na koniec i one znikły w oddali.

Wkrótce potem z miast położonych na południe od Essen zaczęły nadchodzić wiadomości, że rzeczywiście widziano przelatujące bociany, co wskazywało, że obrały drogę tę samą jaką zwykły lecieć ich bracia zachodni. Którędy jednak prowadził dalszy ich szlak po opuszczeniu Niemiec, nie zdołano ustalić i to zdaje się, pozostanie jeszcze długo zagadką dla przyrodników, zajmujących się specjalnie sprawą odlotu ptactwa jesienią na południe.

* * *

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Słaby, chwiejny blask, z dołu bijący, oznaczył mu prostokąt wycięcia w pułapie, przez które po drabinie można było zejść ze strychu.

Położył się na brzuchu i głowę samą w dół pochyliwszy, zapuścił wzrok badawczy ku sieni. Cofnął się prędko i zmienił położenie, by w taki sam sposób móc zobaczyć wnętrze alkierza, w którym na podłodze zapalona świeczka oświetliła mu czyjeś ruchy...

Zobaczył i zerwał się z miejsca. Śpiesznie wrócił do okienka strychowego, syknął z cicha, a gdy Janusz podszedł pod ścianę, polecił mu jak najprzezorniejszym szeptem, by poszedł natychmiast pod ścianę północną i nie zdradzając się sam, pilnował, żeby nikt nie uciekł z chaty.

Za chwilę był znowu na poprzednim stanowisku nad drabiną. Obserwował przez minutę, poczem jak kot zsunął się, prześlizgnął między dwa najwyższe szczeble, cichutko uchwycił się oburącz niższego i zeskoczył w głąb sieni — w trzy sekundy po zagaśnięciu światła.

Wśród ciemnicy, co się zdawała zasypywać oczy czarną sadzą, miał się już z piersi ludzkiej wyrwać nieludzki krzyk potwornego przestrachu, ale z gardła zdławionego nagłym ściśnięciem, wydarło się zaledwie charczenie, które trwało przez chwilę wśród śmiertelnego zmagania się dwojga ciężko dyszących ciał, póki oba nie zwaliły się na ziemię...

NOC i ŚWIT.

Marcin Bombel przysłonił sobie ręką czoło, żeby lepiej widzieć, bo go słońce oślepiło, świecąc w same oczy.

— Aha, to taki z niego diabeł — szepnął sobie w myśli, i z za płotu wyskoczywszy, postąpił kilka kroków naprzód raźnie, ale zaraz zwolnił chodu, jak gdyby ociągając się, bo człowiek, za którym śpieszył, przystanął na odgłos za sobą i obejrzał się właśnie.

— Czyżby mnie kto śledził — pomyślał Bolek Barski i zapuszczając jeszcze niżej na nos duży daszek granatowej czapki, bo teraz jego znowu raził blask słońca — przyglądał się nieznajomemu w podobnej czapce.

Ale ten zaraz zboczył i oddalając się od sadów, zmierzał przez piachy ku łanom owsa, przeto harcerz z garbem pod workowatą bluzą, poszedł dalej wzdłuż opłotków — uspokojony, że jego ucieczka, acz w biały dzień z pod szczytu dachu, nie miała jednak świadków.

Tymczasem Bombel coraz żwawiej dążył po miedzy wśród wyki i koniczyny na dalekie pole, gdzie wzrokiem szukał kogoś znajomego. Oczy w drodze śmiały mu się na myśl, jak to w samą porę powstrzymał się od zaczepienia owego obcego, na którym poznał własną bluzę.

SZARADA L-I-T-E-R-O-W-A.

Trzecia — czwarta — piąta — druga rzeka
tak nam droga,
której oddać nam nie chciała dotad ręka
wroga.
Trzecia razem z czwartą — drugą — imię
to niewieście,
mimo, że nie czysto polskie — spotkasz
w każdym mieście.
Siódma — czwarta — pierwsza — druga —
znów imię to babskie,
wszystkie prawie tak się zowią kobieciny
szwabskie.
Czwarta — trzecia — czwarta — trzecia —
imię to już męskie,
w swym zdrobnieniu nie wygląda wcale
na zwycięskie.
A na koniec jeszcze jedno imię z kobiet
świata,
choć Hiszpania mu ojczyzną, lecz wszędzie
polata.
Całość wreszcie imię daje kraju nam drogiego,
tak nie dawno w obcych rękach — dziś
odzyskanego.

LOGOGRYF.



Z góry na dół, z dołu do góry, z prawa na lewo (dół) i z lewa na prawo (góra) czytane w miejscu krzyżyków litery, dadzą nazwę, którą w tej chwili powtarza cała Polska. Środkowe zaś rzędy pionowe i poziome dopełnić znanym spójnikiem — czytanym raz wprost raz wstecz.